

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

SAMOCHWALCA.

Wesoło, wesoło
Powracam ze szkółki;
Pogodne mam czoło,
Żwawym jak jaskółki!

A wiecie dla czego
Hej koledzy moi?
Bo kto pewny swego,
Ten nic się nie boi.

Umiem gramatykę,
Rachunki, fizykę,
Znana mi odmiana,
Tak jest — proszę pana.

A czytam mój Boże!
Jeszcze też dla gości:
Że nikt mi też może
Nie zrówna w biegłości!

Gimnastik też silny
Ze mnie, co się zowie;
A żem chłopak pilny,
O, każdy to powie!

Nie chwał się sam zuchą,
— Rzekł jakiś uczony
Ale czekaj druha
Aż będziesz chwalony!



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy).

— Przykro nam będzie bez dziecka — westchnął dziadek.

— Wierzę, ale sędzę, że pan pragnie jego dobra. A wie pan, przyszła mi jeszcze jedna myśl do głowy...

— Cóż takiego? — zapytał z żywością dziadek.

— Oto przez lato mieszka tu u mnie pewien artysta malarz. On by Jasia uczył rysować, gdybym go o to poprosił. Jakże więc, zostawisz mi pan chłopca?

— Zgodziłbym się na to, ale muszę jeszcze pomówić z żoną.

Posiliwszy się śniadaniem, Jaś z dziadkiem ruszyli ku domowi. W drodze dziadek powiedział mu o projekcie księdza plebana. Spodziewał się leż i oporu ze strony chłopczyny, ale Jaś przyjął tę wiadomość nadspodziewanie dobrze. Miał wielką chęć do nauki, a gdy się jeszcze dowiedział, że będzie się uczył rysunku, ucieszył się niezmiernie.

— Smutno mi będzie bez dziadzi i babci — rzekł Jasio, tuląc się dziadka.

Wiernuś, jakby przeczuwając, że musi się rozłączyć ze swym młodym panem, spuścił głowę i szedł zwolna, co chwila oglądając się na Jasia.

Przez całe lato Jasio bawił u czcigodnego plebana. Miłe dlań były te wakacje, tem bardziej, że poznał podczas nich sławnego malarza, pana Michała, który go polubił bardzo i postanowił zająć się jego losem.

Odwiedzał chłopczyk zawsze dziadków, ale nie tak często, jak w lecie, bo teraz trzeba było jeździć, gdyż śnieg albo błoto przeszkadzały pieszym wycieczkom.

Pewnego dnia, gdy słońce jasno świeciło, ksiądz proboszcz rzekł do niego:

— Pojedziemy dziś do Zacisza, gdyż mam do twego dziadka interes, chcę mu powiedzieć o pewnym projekcie dotyczącym ciebie, mój Jasiu.

Chłopczyk miał ochotę zapytać, co to za projekt, ale ksiądz pleban wypowiedział powyższe słowa z taką powagą, a potem zamyślił się tak głęboko, że Jaś, chociaż mocno zaciekawiony, nie pytał się o nic więcej.

Ranki mknęły żwawo po drodze utartej.

Jak okiem sięgnąć, widać było białe pola, na których słońce rozpałało brylantowe iskry. Jasiowi bardzo podobał się ten widok, i chociaż trochę mu było zimno, w doskonałym humorze wysiadł przed gankiem w Zaciszu.

Dziadkowie bardzo się ucieszyli z jego przybycia, ale pleban wnet spostrzegł, że oboje starszankowie bardzo się zmienili, że lata pochyliły ich ramiona ku ziemi, smutek jakiś zdawał się unosić nad nimi. Gdy Jaś, posiliwszy się, wybiegł się powitać ze swoim ulubieńcem Wiernusiem, ksiądz pleban rzekł:

— Mam państwu coś powiedzieć i to rzecz ważną, chodzi tu bowiem o los Jasia.

— Cóż to, czyżby zasługiwał na nagane? — zapytał z niepokojem dziadek.

— O, bynajmniej — odparł z uśmiechem ksiądz — jest to chłopczyk bardzo dobry, pilny i pracowity.

— Więc cóż takiego — pytał dalej dziadek.

— Oto proszę pana, pan Michał Kaliński, wie pan, ten malarz sławny z Krakowa, który bawił u mnie przez całe lato, tak sobie upodobał Jasia, że chce go kształcić swoim kosztem. Jest to człowiek zamożny. Teraz wybiera się w daleką podróż za granicę i mówi, że Jasia zabierze ze sobą. Czy państwo zgodzilibyście się powierzyć Jasia panu Kalińskiemu? To bardzo zacny człowiek, znam go od dawna. Każdego prawie lata przyjeżdża do mnie na wakacje.

Dziadkowie spojrzeli na siebie, w oczach babuni zabłysły łzy. Przez chwilę w pokoju głębokie panowało milczenie.

— Żal nam będzie chłopca — szepnęła wreszcie dziadek — ale przecież on ciągle nie może siedzieć u nas na wsi, musi się uczyć, musi od nas odjechać.

— Masz słuszość — dodała babunia, ocierając oczy — my już starzy i niemający, nie mielibyśmy za co kształcić wnuczka, dobrze więc, że znalazł opiekuna.

— Pan Kaliński przyrzekł, że podróżując, będzie się dowiadywał wszędzie o ojcu Jasia i że może trafi na jaki ślad zaginionego.

— Dałby to Bóg! — odparła z westchnieniem babunia.

— Niech się więc dzieje wola Boża — rzekł dziadek — niech chłopiec jedzie z panem Kalińskim, kiedy ksiądz dobrodziej ręczy, że to dobry, uczciwy człowiek.

— A jak prędko Jaś by ztąd wyjechał? — pytała z niepokojem babunia.

— Najdalej za trzy tygodnie — odpowiedział pleban.

— Więc trzeba pomyśleć o tem, aby chłopiec miał w porządku ubranie i bieliznę — rzekła babunia.

W tej chwili wbiegł do pokoju Jasio, z buzią zaróżowioną, z błyszczącymi zadowoleniem oczami.

— Babuniu! Wiernus mnie poznał! — zawołał — tak się łasił, tak mnie lizał po rękę!

— Chodź-no tu do mnie, Jasiu! — rzekł dziadek. — Powiedz, czy chciałbyś jechać z panem Kalińskim, który cię bardzo polubił i chce dowiedzieć się pewnych wieści o twym ojcu?

— Chciałbym dziadziu! — odparł bez namysłu chłopiec — a czy i babunia pojedzie z nami?

— Nie, ani ja, ani babunia nie pojedziemy z tobą drogie dziecko — rzekł dziadek. — Pan Kaliński chce ciebie samego zabrać ze sobą.

Chłopiec posmutniał.

— Ech, to już nie chcę jechać, dziadziu! — odrzekł.

Starszek pogłaskał go po głowie.

— Wiem, że nas kochasz — rzekł — ale widzisz w takiej podróży nauczysz się dużo, a może — dodał ciszej — dowiesz się coś pewnego o ojcu.

— Doprawdy? — zawołał pocieszony tem chłopczyk. — Ach, jakżebym ja chciał zobaczyć tatusia.

— Więc jedź z panem Kalińskim... Ja cię chętnie oddaję pod jego opiekę.

— Musisz tylko pisywać do nas często, bo byśmy tu pomarli z tęsknoty i niepewności — mówiła babunia — i znowu łzy zabłysły w jej oczach.

W ten sposób wyjazd Jasia został postanowiony.

Bardzo szybko zbliżyła się chwila wyjazdu Jasia, babunia przygotowała już wszystko, co dla niego było potrzebne do podróży.

Artysta-malarz, pan Kaliński wyjechał na kilka dni do Warszawy, dla załatwienia koniecznych sprawunków, Jasio zaś został przez ten czas u dziadków.

— Już tylko dwa dni, Jasiu, będziesz z nami — rzekła z westchnieniem babunia.

— A tak! — odpowiedział również zasmucony Jasio.

— Moje dziecko, i nam przykro, że odjeżdżasz, ale tak być musi. Spodziewam się, że będziesz się uczył gorliwie, bo pan Kaliński obiecał cię kształcić.

— Zobaczę morza i góry! — zawołał Jasio któremu nagle oczy zabłysły radością.

Babunia uśmiechnęła się smutnie. Chciała

powiedzieć Jasiowi: „I nie będziesz za nami tęsknił“.

Lecz nie chcąc go roztkliwiać, umilkła.

W piątek wieczorem przyjechał pan Kaliński, a w sobotę rano podróźni nasi mieli wyruszyć w drogę. Dziadkowie obiecali pojechać z Jasiem na stację kolei żelaznej.

Chłopczyk rozplakał się szczerze, żegnając się z temi drogiemi sobie osobami, a gdy pociąg ruszył, wyglądał jeszcze oknem, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Długo widział białą chustkę babuni, powiewającą w powietrzu; wreszcie stracił ją z oczu. Jasio siedział czas jakiś w kącie i nie przypatrywał się nawet okolicy.

Pan Kaliński pozostawił mu swobodę.

— Niech się lepiej chłopiec wypłacz — mówił sobie w duchu — byłoby źle, gdyby obojętnie żegnał się ze swymi opiekunami.

W godzinę Jasio się uspokoił, otarł oczy i zaczął wyglądać oknem. Wsie, kościoły, pola i rzeczki przesuwały się przed jego oczami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Odważny chłopiec.

Wioska Worochta jest położona w prześlicznej okolicy, na drodze wiodącej do Czarnohory. Chcąc się dostać do niej, trzeba przejechać przez Stanisławów, Delatyn, Dorę, Mikuliczyn i Tartarów. W Worochcie kończy się droga kołowa powyżej niej rozpoczynają się ścieżki górskie, którymi już tylko pieszko przechodzi góral, pędzący w górę owce, kozy lub konie, a czasem też i ciekawy podróźny chcąc widzieć bliskie już ztąd szczyty Czarnohory, przejeżdża tędy wierzchem na małym góralskim koniku.

Kto był w Worochcie, ten nie mógł oderwać oczu od prześlicznych jej łąk, ale lud, co zamieszkuje ją, jest bardzo ubogi. Zboże tu już nikłe, całem bogactwem mieszkańców jest nędzny owies, łąki i trochę bydelka, a pomiędzy ubogimi gospodarzami Worochty, to już chyba najbiedniejszą była Piotrowa.

Miała ona małą chatynę i na końcu wioski położoną, blisko jej chaty przepływał bystry Prut. Z tej strony, po której stała chata Piotrowy, brzegi były niskie, a z przeciwnej tworzyły wysoką, poszarpaną stromą ścianę. To też gdy z wiosną lub latem wzbierały wody, nie mogąc

rozlać się po obu stronach, dochodziły często aż do chaty biednej kobiety.

Przed kilku laty, gdy z powodu nieurodzaju, nędza cały nasz kraj nawiedziła, matę jej poszedł gdzieś w świat szukać zarobku. Latem pracował na pańskim polu i wówczas przysłał żonie i dzieciom pieniądze. Co zimą, gdy już w polu roboty nie stało, pociągnął wraz z innymi do kopalni nafty i już odtąd żona nie miała o nim żadnych wieści. Ludzie, co przyjeżdżali z miast mówili jej, że robota w kopalniach jest bardzo niebezpieczna, że wśród niej ginie wielu ludzi, ale ona nie mogła uwierzyć, że już nigdy nie obaczy ojca swoich dzieci. A miała ich dwoje, starszego Iwanka i młodszą Mokryną. Mokryna miała dopiero lat pięć, a Iwanek był dzielnym podrostkiem.

Pragnął on się bardzo uczyć, bo wiedział o tem, że ksiądz z Jabłonicy i Mikuliczyna czytają w księgach, że pan leśniczy w Tartarowie, co to skądś aż z Niemiec przyjechał także czyta i w książkach coś pisze. Ale w Worochcie nie było szkoły, więc gdy z końcem lata, w Mikuliczynie, o trzy mile odległym od Worochty, dzieci do szkoły chodzić zaczęły i on wstawszy mało co po północy, pobiegł do szkoły i stanął do zapisu.

Nauczyciel dowiedziawszy się, że chłopiec z Worochty, powiedział mu, żeby więcej nie przychodził, bo trzy mile z domu i do domu codzień chodzić nie może, zwłaszcza gdy w zimie śniegi drogi zasypią, i wilki włóczyć się zaczną.

Wracał więc Iwanko smutny, ślad na drodze wśród lasu i głośno płakać zaczął. Gdy tak płacze, nadszedł drogą leśniczy rządowy. Niemiec on był, ale człowiek ludzki i chociaż ostro czasem krzyknął i nagroził ludziom, gdy szkody w lesie robili, to jednnk wszyscy mówili, że to człowiek prawy.

— Czego tak płaczesz chłopcze? — rzekł do Iwanka, zacinając z niemiecka.

Iwanko powstał, otarł oczy prędko i nie śmiał nie odpowiedzieć.

— No mów, czego płaczesz? — powtórzył leśniczy.

— Bo nauczyciel nie przyjął mnie do szkoły.

— A ty z kąd?

— Z Worochty,

— Przecież w Worochcie nie ma szkoły.

— To też ja chciałem chodzić do Mikuliczyna.

— Ależ to szaleństwo, chodzić do szkoły trzy mile drogi.

— Wstawałbym z północy i doszedłbym na rano. Drogę znam dobrze.

Leśniczy popatrzył na chłopca uważnie.

— A czyj ty? — zapytał.

— Z Piotrowej chaty, ot tam z nad potoka.

— To twój ojciec poszedł kopać naftę i nie wrócił?

— Mój panie.

— Idź do domu, a szkołę sobie wybij z głowy. Pomagaj matce w gospodarstwie.

— Kiedy w zimie nie ma co robić w chałupie, a spać się nudzi — rzekł chłopiec i podniósł oczy tak pełne rozpacz, że leśniczy cały dzień nie mógł się pozbyć myśli o chłopcu.

Był on sam, sam jeden w obcym kraju. Żył tu już lat kilka, nauczył się mówić po rusku i po polsku, ale czuł się tu zawsze obcym, bo nie miał się przywiązać do kogo.

(Dokończenie nastąpi).



ZAJĄC I ŻÓŁW.

Bajka.

Chyży, wysmukły i zwinny zając
Napotkał żółwia, łakę przebiegając.

— Jak się masz, moja ty skorupo — rzecze,
Gdzie się to waszmość tak pomalu wlecze?
Mój Boże! co to za układ natury?

Mnie w biegu i sam wiatr nie upędzi.
Żółw na godzinę w swym chodzie ponury

Ledwo upelźnie trzy piędzi!

— Hola! — żółw mu odpowie — mój ty wiatronogi,
Umiem ja chodzić i odbywam drogi,
Mogę i ciebie ubiedz do celu.

Rozśmiał się zając: — ha, mój przyjacielu!

Jeśli jest wola, ot cel tej ochocie

Niech będzie przy owym płocie.

To rzekł i ręce posuwając kroki
Stanął w pół drogi: obejrzy się, a tam

Żółw ledwie ruszył trzy kroki.

— I na cóż — rzecze — ja wiatry zamiatam?

Nim żółw dopelźnie, tak sobie suwając,

Sto razy wyśpi się zając.

Tu swoje słuchy przymaszał:

Legnie pod miedzą, i usnął.

Żółw, gdy powoli krok za krokiem niesie,
Stawa na koniec w zamierzonym kresie.

Ocknie się zając, w czas właśnie!

Darmo się zrywasz, lecis, przyjacielu —

Bo ten, co idąc, w pół drogi zaśnie

Pierwszy nie stanie u celu!

F. Książnin.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Wyrazów 11. Litery czytane z góry na dół, dadzą nazwę podarku, którym dzieci się najczęściej cieszą na Boże Narodzenie.

Sylaby: Ba-rzeł-ża o lon E giel ra-fa-Do-u pa-za-za-ro-pał-wa-wa-ka-E-ga-rek-ko-wa o-na.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Tem się dzieci bawią.
- 2) Król ptaków.
- 2) Znajduje się na okręcie.
- 4) Część świata.
- 5) Nazwa panujących w Wenecyi.
- 6) Skala podwodna.
- 7) Służy do wzniesienia ognia.
- 8) Imię pierwszej kobiety.
- 9) Służy do ważenia.
- 10) Ulubiony ptaszek śpiew. domowy.
- 11) Tem widzimy.

II.

Wyrazów 9. Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwę generała polskiego i zwycięcy w bitwie pod Stoczkiem w r. 1831.

Sylaby: blag-bruk-ea Czor-Dre-El-gród-I-Ins-Kry-ni-No Rze-sza-szów-sztyn-tar-wa-wan-War-wy-zno.

Znaczenie wyrazów.

- 1) Stolica Saksonii.
- 2) Druga stolica Polski.
- 3) Miasto w Pruszech zachodnich.
- 4) Miasto w Galicyi nad Wisłokiem.
- 5) Miasto u stóp Tatr u zlewu Czarnego i Białego Dunaju.
- 6) Główne miasto w Tyrolu.
- 7) Wieś u stóp Pienin ze zwaliz. zamku.
- 8) Miejsce kąpielowe w Galicyi.
- 6) Forteca przy ujściu Wieprza do Wisły.

III.

Pierwsze, trzecie trwoży szpeci,

Drugie trzecie trwoży dzieci,

Ale zwierząt głowy zdobi.

Wszystko, gdy się smacznie robi,

To każdego wnet uraczy.

Proszę zgadnąć, co to znaczy?



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 32.

Men — ni — ce.

